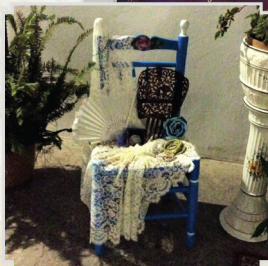


Ewa Zarychta

ANDALUZJA

Muzyka
mojego pueblo



ISBN 978-83-952041-6-6

© Ewa Zarychta, 2024

© Tłumaczenie z języka hiszpańskiego fragmentów wierszy
i tekstów pieśni: Ewa Zarychta

Redakcja: Karolina Przybył

Konsultacja językowa – język hiszpański: Karolina Przybył

Korekta: Monika Pertek-Koprowska

Konwersja: O!Studio Magdalena Kocińska

Projekt okładki: O!Studio Magdalena Kocińska

Zdjęcie na okładce: Małgorzata Domańska (fotografia przedstawia
ulicę Barrío Santana w Mijas Pueblo)



cherry

Dla wszystkich zakochanych we flamenco

To nie jest przewodnik po Andaluzji.
To jest miłosne wyznanie i próba zarażenia Czytelników
moją fascynacją tym regionem Hiszpanii.
Innym niż pozostałe nie tylko ze względu
na swoją historię, wyjątkowy urok, mentalność mieszkańców,
lecz także będącym kolebką *flamenco* – sztuki,
w której zakochałam się od pierwszego wejrzenia.

Rozdział 1

*Y a mí me gusta saborear la hierba, la hierba buena,
Un cante por soleá,
Una voz quebrada y serena,
Una guitarra y tus ojos,
Ay al ladito de una candela*

„Soy gitano” | CAMARÓN DE LA ISLA

*Lubię smak ziół, smak mięty,
Kiedy rozbrzmiewa śpiew soleá.
A głos jest pełen żalu, choć spokojny,
Ach, gitara i twoje oczy,
Przy blasku świecy*

TŁUM. EWA ZARYCHTA

Ten festiwal trwa tylko jeden dzień (a właściwie jedną noc), choć przygotowania do niego i imprezy towarzyszące trwają cały rok. A jest to najważniejsza noc dla mieszkańców Casabermeja – małego andaluzyjskiego miasteczka niedaleko Malagi. Noc, w którą króluje śpiew *flamenco*¹.

Każdego roku w trzecią sobotę lipca odbywa się tam Festival de Cante Grande de Casabermeja, którego organizatorem jest Urząd Miejski w Casabermeja i lokalna Peña Flamenca Torre Zambra, czyli klub flamenco. *Cante Grande* – wielki śpiew, poważna pieśń. Wielka hiszpańska fiesta.

Śpiew jest w muzyce *flamenco* elementem pierwotnym. Na początku był właśnie śpiew. Bez akompania-

¹ Słowniczek hiszpańsko-polski znajduje się na końcu e-booka.

mentu jakichkolwiek instrumentów. Pieśni wykonywane mocnym, głębokim, ochryplym głosem przez andaluzyjskich Cyganów opowiadały o ich niedoli, prześladowaniach etnicznych, ciężkiej pracy i wielkiej biedzie. Czasem też o tragicznej miłości. Mówiło się o nich: pieśni z kuźni i więzienia. Przykładem takiej pieśni jest „Por cumplir con Díos”, utrwalona w archiwalnym nagraniu z końca lat 50. ubiegłego stulecia, wykonana przez Pepe el Culata. Oprócz przejmującego głosu słychać w niej rytm wybijany przez kowalski młot.

Tekst w pieśniach *flamenco* ma istotne znaczenie. *Cantaor*, czyli śpiewak, opowiada historię. Niektóre słowa czy frazy, wielokrotnie powtarzane, nadają wykonaniu jeszcze bardziej emocjonalnego charakteru.

Ze względu na dużą barierę językową śpiew *flamenco* nie jest tak popularny wśród zagranicznych turystów jak taniec. Zwłaszcza taniec wykonywany dla zagranicznych gości w restauracjach i hotelach, którzy wypili sporo hiszpańskiego wina, starają się bezskutecznie wyklaskiwać skomplikowany rytm. Ale i tak wszyscy bawią się świetnie. Inaczej jest na występach pieśniarzy *flamenco*. Tam widownięć stanowią prawie wyłącznie Hiszpanie.

Cantaor, wykonując pieśni, siedzi na krześle. Aż dziwne, że ekspresja wykonania pozwala mu w ogóle usiedzieć. Gesty i mimika dopełniają dramatyzmu interpretacji. Ręce albo ma uniesione do góry, albo chwyta nimi klatkę piersiową w okolicy serca. Chwyta i mocno ściska. Jakby chciał wyrwać sobie z piersi targane rozpaczą serce. Efektem tych dramatycznych gestów najczęściej są pourywane guziki i mocno pognieciona z przodu koszula.

Szarpanie na piersiach koszuli lub kamizelki jest również nawykiem wielu tancerzy *flamenco*. Uwielbiam ten rodzaj wyrażania emocji w wykonaniu mojego faworyta Antonio de Verónica, który tańczy tradycyjne, autentyczne *flamenco* wraz ze swoją niezwykle urodziwą żoną Saray Cortés (znane nazwisko w tej branży) przy dźwiękach muzyki granej przez ich cygańską rodzinną grupę Sanchez Cortés. Antonio jest również mistrzem szarpania kłapy od marynarki, jeśli właśnie w takowym stroju tańczy.

Po raz pierwszy pojechałam do Casabermeja na Festival de Cante Grande w lipcu 2010 roku. Sporo przeczytałam na ten temat i wysłuchałam wielu pieśni w wykonaniu znanych hiszpańskich artystów. Chciałam nastroić się w duchu *duende*. Wiedziałam, że na aksamitne, seksowne głosy śpiewające „Bésame mucho” nie ma co liczyć. Byłam jednak kompletnie nieprzygotowana od strony logistycznej i towarzysko-gastronomicznej, jako że przygotowanie merytoryczne uznałam za wystarczające i pozwalające mi zrozumieć, w czym tkwi piękno śpiewu *cante grande*.

Bilety zarezerwowałam telefonicznie i poinformowano mnie, że będą do odebrania w kasie do godziny 21.00. Domniemałyśmy więc z przyjaciółką, moją towarzyszką na drodze tropienia występów grupy Sanchez Cortés, że koncert rozpocznie się o godzinie 21.00, a skończy najpóźniej o 23.00, wliczając w to ewentualne bisy. Nie zabrałyśmy więc ze sobą kluczy od domu, myśląc błędnie, że mężczyźni, którzy zostali na miejscu, będą sączyć wino co najmniej do północy i po naszym powrocie do

Mijas Pueblo otworzą nam drzwi. (Otworzyli. Ale po głośnym łomotaniu nad ranem).

Około godziny 20.30 zajęliśmy na specjalnie oznaczony parking w Casabermeja. Koncert odbywał się na miejscowym stadionie sportowym, ale po zmroku trudno było wypatrzeć coś, co przypominałoby stadion. Było to raczej wybetonowane niewielkie boisko z małą widownią z jednej strony. Dość łatwo jednak dało się tam trafić, ponieważ wszyscy zmierzali pieszo w tym samym kierunku. Dodatkowo drogę wyznaczały porzucane pęki świeżej mięty – rozcierana butami gości zmierzających do *polideportivo*, uwalniała wspaniałe zapachy.

Przed 21.00 odbieramy w kasie bilety oraz folder z programem festiwalu. Wchodzimy na boisko. Już w środku, tuż przy wejściu na widownię, stoją trzy śliczne dziewczyny w sukniach do *flamenco* i wręczają piękną czerwoną różę każdej wchodzącej kobiecie. Miejsca nie są numerowane, więc rozglądamy się wokół, gdzie można by usiąść. Pierwszą rzeczą, która rzuca nam się w oczy bardziej niż wolne miejsca, jest nasz niewłaściwy, zdecydowanie za mało elegancki ubiór. Wszystkie inne panie wystrojone są dość wytwornie. Większość ma na sobie długie suknie w hiszpańskim stylu, a ich włosy ozdabiają pojedyncze sztuczne kwiaty.

Niewątpliwie wyglądamy na zagraniczne turystki. Dobrze, że nie mamy ze sobą plecaków, bo to już na pewno wywoływałoby zdziwienie. I tak czujemy się nieswojo i dość niepewnie.

Na poziomej, dolnej części boiska zbudowana jest duża scena, której ozdobne tło stanowi wielki obraz –

pejzaż przedstawiający Casabermeja. Nie wygląda na wybitne dzieło. Pewnie jest darem od jakiegoś miejscowego artysty rzemieślnika. Dla rozwiania wątpliwości – napisano na nim, co przedstawia. Od sceny aż po ławki znajdujące się na pochyłej widowni porozstawiano stoły z krzesłami; wszystkie o tej porze są już zajęte. Wystrojone Hiszpanki wykładają na nich przyniesiony ze sobą prowiant, bynajmniej nie suchy, bo wina też jest pod dostatkiem.



Fot. 1. W oczekiwaniu na występ pierwszego *cantaora*

Znajdujemy wolne miejsca na widowni i czytamy program. Będzie czterech pieśniarzy i każdemu z nich towarzyszyć ma inny gitarzysta. *Gitarra*, podobnie jak rytmiczne klaskanie, czyli *palmas*, dołączyła jako akompaniament do pieśni *flamenco* stosunkowo późno. I ta

symbioza muzyczna trwała dziesiątki lat, dopóki nie wprowadzono innych instrumentów muzycznych, które uczyniły z *flamenco* muzykę bardziej popularną. Pozostała jednak olbrzymia grupa zwolenników tzw. *flamenco puro*, czyli takiej formy, której nie zakłócają żadne współcześnie brzmiące popowe dźwięki ani taneczne, baletowe wygibasy, daleko odbiegające od tradycji. Ostoją *flamenco puro* jest miasto Jerez de la Frontera. To tam w cygańskiej dzielnicy Santiago są najlepsze *peñas* (kluby *flamenco*) kultywujące tę tradycję.

Wczytując się dokładniej w program, zauważyłam, że wystąpi również jedna tancerka. I faktycznie pojawia się na scenie, tańczy w trakcie śpiewu *cantaora* i szybko znika w kuluarach. Ot, taki element żywej scenografii dla urozmaicenia obrazu z pejzażem Casabermeja.

Dziewiąta mija, biesiada trwa w najlepsze i nic nie zapowiada rozpoczęcia koncertu. Część widzów siedzi na krzesłach tyłem do sceny. O co tu chodzi? Rozglądamy się nerwowo i widząc na stołach smakowite plastry szynki *jamón serrano*, kiełbasy *chorizo*, sera *manchego* i rozmaite sałatki, zaczynamy być głodne. Odwracam głowę i pytam siedzącą za nami parę, która też wyjada jakieś *tapas* z przyniesionej ze sobą torby:

– Zawsze koncert zaczyna się z opóźnieniem?

– Nie. Zacznie się punktualnie. O jedenastej.

– Lepiej o jedenastej niż *mañana* – komentuje moja przyjaciółka. – No to pięknie!

Nie wytrwamy tyle godzin na głodniaka, patrząc, jak inni się objadają. Trzeba się ruszyć i poszukać jakiegoś bufetu czy chociażby sklepiku. Może iść jedna z nas.

Druga musi zostać i pilnować naszych miejsc. Stadionik jest już maksymalnie zapełniony. Wiele osób stoi.

Po około 20 minutach moja towarzyszka wraca z uwieńczonych sukcesem poszukiwań, niosąc ze sobą dwie szklanki piwa i tackę pokrojonego sera.

– To nam się należało za okazaniem biletu – objaśnia triumfalnie. – Przydział od organizatorów.

Wolałabym wino, ale chyba byłoby przesadą, gdybym o tym wspomniała. Dzisiaj już nawet nie pamiętam, czy piwo i ser były dobre. Smakowały, bo niewątpliwie uratowały sytuację. Oddaliły widmo cierpienia z powodu głodu i pragnienia, co z pewnością uniemożliwiłoby nam skupienie się na pieśniach *flamenco*. Bo cały czas mamy nadzieję, że to jednak nie festiwal piosenki biesiadnej, choć sporo na to wskazuje. Teraz jesteśmy już gotowe na największe nawet doznania artystyczne.

Dochodzi jedenasta. Na scenę wchodzi burmistrz miasteczka i serdecznie wszystkich wita w imieniu organizatorów i zaproszonych artystów. Pada nazwa Festival de Cante Grande. Odetchnęliśmy z ulgą – jednak dobrze trafiłyśmy. Gwar na widowni milknie. Ci, którzy siedzieli tyłem do sceny, odwracają się w jej kierunku. Pojawia się pierwszy *cantaor* i siada na przygotowanym krześle. Obok siada akompaniujący mu gitarzysta. Przejmujący, mocny głos – często przypominający głośny płacz, wręcz lament, wydobywany z głębi serca i duszy – roznosi się po okolicznych górach. Gitarzysta też jest świetny. Gra znakomicie i nie usiłuje wcielić się w rolę pierwszoplanową. Zostawia mistrzowi pole do popisu.

Wszyscy słuchają w wielkim skupieniu, od czasu do czasu reagując odpowiednim okrzykiem. To dodaje wykonawcy energii, upewnia go, że jest uważnie słuchany i rozumiany. Jedna pieśń, druga, trzecia... Mija godzina, a na scenie ciągle ten sam śpiewak. W zasadzie on jeden dał już pełny koncert. Po północy schodzi ze sceny, odprowadzany gromkimi brawami i okrzykami. Bisów nie ma. I dobrze. Wystarczy.

Kilkuminutowa przerwa. Kieliszki biesiadników znów napełniają się winem i ożywia się ruch wokół stołów. Część krzeseł zostaje odwrócona tyłem do sceny. Niektórzy usiłują rozmawiać ze swoimi znajomymi, którzy siedzą albo stoją na drugim końcu widowni. Jest nieprawdopodobnie głośno. Hiszpanie są mistrzami hałasu. Pamiętam, co działo się na ulicach Fuengirolí w 2010 po finałowym meczu o mistrzostwo świata w piłce nożnej wygranym przez hiszpańską drużynę. Każdy hałasował, czym się dało, i najgłośniej, jak mógł.

Po przerwie schemat koncertu się powtarza. Na scenę wychodzi drugi artysta i wraz z akompaniującym mu gitarzystą siadają na krzesłach. Gwar na widowni znów milknie i znów wszystkie krzesła skierowane są przodem do sceny, a *cante grande* niesie się po górach okalających Casabermeja.

Około godziny 2.00, podczas kolejnej przerwy, zaczynamy się zastanawiać, jak wejdziemy do domu. Ostatecznie noc jest ciepła... Możemy się przespać na leżakach do opalania, przy basenie koło domu. Decyzja zapada. Zostajemy na występ następnego wykonawcy.

Wszystko, co tu widzę i słyszę, robi na mnie ogromne wrażenie. Choć wymaga to dużej cierpliwości oraz

zamiłowania do hiszpańskiej tradycji i kultury, nagrodą za wytrwałość jest wielka satysfakcja. Uczestniczę w prawdziwie andaluzyjskiej fiescie, w na wskroś hiszpańskim widowisku.

Po 3.00 nad ranem odczuwamy już jednak duże zmęczenie. Nie damy rady zostać do końca. Do samego Mijs Pueblo samochodem jedzie się kilkadziesiąt minut. Wychodzimy, nie mając pewności, czy dobrze robimy. W drodze na parking już podejmujemy decyzję. Postanawiamy, że w następnym roku też tu przyjedziemy, ale będziemy dobrze przygotowane – wyspane, ubrane w sukienki. W koszyku będziemy mieć pyszne jedzenie i wino, a we włosy każda wepnie kwiat.

Tak też zrobiliśmy, gdy 23 lipca 2011 roku odbywał się XL Jubileuszowy Festival de Cante Grande w Casabermeja.

Jedziemy. Program znamy już z Internetu. Wśród czterech śpiewaków (występuje również jedna kobieta) będzie wielka gwiazda – José Mercé, bijący rekordy w sprzedaży płyt, od kiedy *flamenco* straciło swojego najbardziej popularnego i lubianego w historii śpiewaka, zmarłego w młodym wieku 42 lat i u szczytu kariery, Camaróna de la Isla. Ale do niego jeszcze wrócę.

Wyposażone we wszystko, co trzeba, parkujemy samochód w Casabermeja odpowiednio wcześniej. Mamy nadzieję zająć dobre miejsca. Odbieramy od dziewczyn w sukniach do *flamenco* przydziałowy kwiatek (tym razem piękny czerwony goździk), robimy zdjęcia i ruszamy w stronę trybun, szukając wzrokiem miejsca przy stołach. Niestety, wszystkie są już zajęte. Udaje nam się znaleźć wolne krzesła w górnej części widowni. Nie jest

źle. Dobrze widać scenę, a przed nami jest murek, który został przysposobiony do roli stołu. Rozkładamy na nim nasze wiktuały i wyczekujemy w podnieceniu godziny 11.00.

Oczywiście wszyscy najbardziej oczekują występu José Mercé. To artysta największego formatu. I w końcu jest – jako trzeci *cantaor*. Wchodzi na scenę. Głos ma tak mocny i niezwykle przejmujący, że wszyscy słuchają go jak urzeczeni. Nikt się nie kręci, nie popija wina i nic nie podjada. Nikt z nikim nie rozmawia. Jedynym ruchem, który ewentualnie można wykonać, jest chwycenie się za serce i wyrwanie sobie guzików od koszuli.

Warto było tu znów przyjechać. Po stokroć warto! Jestem oczarowana tym wydarzeniem jako niezwykle zjawiskiem kulturowym i społecznym. Po raz kolejny stwierdzam, że Hiszpania ma w sobie wielką magię. Tylko trzeba trochę zjechać z utartych turystycznych szlaków, żeby tę magię odnaleźć, poczuć ją. I trzeba pobyc wśród ludzi. Wśród Hiszpanów.